Muszę do niej pojechać — postanowiłem bez namysłu. I nie wycofałem się z tego postanowienia, tylko gdy wziąłem pod uwagę odległość od wojewódzkiego miasta, w którym ta kobieta mieszkała i niedogodne dla mnie godziny przyjęć, a uwzględniłem jeszcze fakt, że pozostały mi już tylko dwa dni pobytu w miasteczku położonym w tym województwie, moja decyzja rozłożyła się na etapy, z których pierwszy sformułowałem w sposób nieco bardziej umiarkowany: — Muszę do niej napisać, po powrocie do Olsztyna.

No i napisałem:

„Szanowna Pani! Zdjęcie Pani, które ujrzałem w gazecie, przypomina mi osobę, poznaną podczas hitlerowskiej okupacji. Jestem pewien, że Pani jest tą osobą. Cała sprawa da się streścić w trzech słowach: BIAŁA PODLASKA—TARTAK—RYFKA. Jeżeli ten szyfr zawiera Panią, a Pani mnie pamięta i gotowa byłaby ze mną porozmawiać, to proszę o krótki sygnał pod poniższym adresem. Łączę wyrazy szacunku."

Podpisałem się imieniem i nazwiskiem, podałem dokładny adres i numer telefonu. A wróciwszy do domu po wrzuceniu tego listu, jeszcze raz wziąłem przywiezioną stamtąd gazetę, w której znalazłem ten oto anons:

PYTIA
wróży z rąk, gwiazd, kart
ul. Cienista 5
przyjmuje w godzinach 10—12 i 16—18

Ale nie wróżby mnie zafascynowały w tym ogłoszeniu tylko zdjęcie wróżki zamieszczone obok. Przedstawiało ono starszą kobietę o czarnych włosach i wyraźnie semickich rysach twarzy. Wysokie czoło, duże czarne oczy, delikatnie przygięty nos, uwydatnione pagórki policzków. Całość niezwykle urodziwa. Kropka w kropkę przypominała mi Ryfkę, która była piękną, co ja mówię: przepiękną dziewczyną.

Tak, ale była przepiękną Żydówką. A ponieważ znaliśmy się podczas okupacji, wszystko wskazywało na to, że nie przeżyła wojny. Przez wiele lat nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. A teraz...

Poznaliśmy się w Białej Podlaskiej i tam też widzieliśmy się po raz ostatni. Nie mogąc doczekać się rychłego końca wojny, w który na jej początku nikt w Polsce nie wątpił, musiałem pod koniec 1940 roku pójść właśnie w tym mieście do pracy. Zatrudniłem się w księgowości pożydowskiego tartaku, prowadzonego przez Niemca, zresztą o polskim nazwisku. Stało się to późną jesienią, szła zima, lecz pewny nadal rychłego zwycięstwa aliantów nad Hitlerem, nawet nie próbowałem stabilizować się na dobre. Wynająłem pokój, którego mi się nawet nie chciało ogrzewać, chodziłem do niego tylko spać. Spędzałem całe dnie to w biurze, to w grupach tajnego nauczania, to w gronie przyjaciół, a gdy późnym wieczorem wróciwszy „do domu" owinąłem się szczelnie watową kołdrą, nie czułem zimna. Rano rozbiłem w miednicy taflę lodu i tylko przemywałem oczy. Resztę załatwiałem w biurze, do którego przychodziłem przed porą rozpoczynania zajęć, przeważnie

tak wcześnie, że miałem jeszcze godzinę i więcej czasu. Trzymałem tam w szafie przybory do mycia i golenia, herbatę lub kawę zbożową, cukier, bochenek chleba razowego (wojskowego, z lotniska) i puszkę smalcu. W biurze więc myłem się i goliłem, następnie zjadałem śniadanie. Pomagała mi właśnie Ryfka. Przede wszystkim podawała mi szklankę prawdziwej (niestety, nie zawsze) kawy z własnych, prywatnych zasobów. Byłem jej za to wdzięczny, bo sam nie miałem głowy do zabiegania o takie, na owe czasy, luksusowe rzeczy.

Tę dziewczynę, która wiosną 1939 roku zdała nie tylko maturę, lecz i w Politechnice Warszawskiej egzamin wstępny na architekturę, spotkał po zajęciu Polski przez Niemców stosunkowo szczęsny los: została sprzątaczką i zarazem gońcem w naszym biurze tartacznym. Żydom było już wtedy bardzo źle. Pędzono ich do ciężkich robót fizycznych, przeważnie na budowach, dając za to śmieszne, symboliczne tylko wynagrodzenie, nie wystarczające na nic. Jedynie niewielu z nich uprawiało jeszcze rzemiosło — tylu tylko, ilu potrzebowali Niemcy. Wśród nich znajdował się ojciec Ryfki — znakomity krawiec. Ale ten, znośny jeszcze wtedy, los wyznawców Mojżesza nie potrwał już długo.

Wiosną 1941 roku, więc krótko przed rozpoczęciem wojny ze Związkiem Radzieckim, hitlerowcy zlikwidowali całe getto bialskie, a jego mieszkańców popędzili z miasta gdzieś w nieznane. Obserwowałem ten exodus, gdyż trasa strasznego pochodu prowadziła ulicą, przy której mieszkałem. W pieszej karawanie szła cała miejscowa biedota z tobołkami, z pochwyconym na prędce sprzętem domowym. Byli przekonani, że są ewakuowani do jakiegoś większego getta. W rzeczywistości szli na śmierć. Widziałem wśród nich ojca Ryfki z żoną. Znałem i jego, i ją, bo chodziłem do ich domu, żeby uszyć ubranie. Poznałem ich więc łatwo w pochodzie,

także krawiec dostrzegł mnie, daliśmy sobie nawet znaki gestami rąk. Ryfki już nie było.

Ryfka nie wątpiła nawet na moment w to, że będzie studiowała architekturę. Miała chłopca i postanowiła uciec z nim do Warszawy. Powiedziała mi to w biurze otwarcie:

— Ubiorę się ładnie, mój chłopiec też, tata uszył mu śliczny garnitur, skombinowaliśmy też dla niego buty oficerki, takie, w jakich żaden Żyd nie chodzi. Ja zawiążę chustkę na głowie, pan wie, Żydówki nie noszą chustek, a na szyi powieszę duży medalik z Matką Boską, na srebrnym łańcuszku. Pojedziemy koleją do Warszawy, jakby nigdy nic. Tam się ukryjemy u znajomych. U Polaków. Jak zniknę i któregoś dnia nie przyjdę do pracy, to pan będzie wiedział, co się stało. Ale tylko pan jeden.

Potakiwałem poważnie temu, co mówiła. Ale w duchu — przyznaję — śmiałem się z tych słów, bo wystarczyło spojrzeć na jej śliczną buzię, ba! popatrzeć na czarne włosy, w czarne oczy, by nie zwątpić nawet na sekundę, że ma się do czynienia z Żydóweczką i żadne medaliki, chusteczki, buty oficerki nic tu nie mogły pomóc. Potem, przez całe lata, nie miałem więc wątpliwości co do tego, że Ryfka nie żyje.

A teraz zaczęło to wyglądać nieco inaczej. Może ta Pytia wywróżyła sobie pomyślny przebieg ucieczki i dlatego była taka pewna siebie?

Oczywiście, podobieństwo Pytii z Ryfką mogło być zwodnicze. Oczywiście, zestawienia fotografii starej kobiety z twarzyczką dziewiętnastoletniej dziewczyny widzianej przed wielu laty, mogło nie mieć sensu. Zwłaszcza, że Żydówki szybciej się starzeją. Toteż niecierpliwie oczekiwałem na skutki mego listu.

Nie czekałem długo.

Już trzeciego dnia, wieczorem, gdy po ozwaniu się

przeciągłego dzwonienia międzymiastowej podniosłem słuchawkę, telefonistka wymieniła nazwę tamtego miasta wojewódzkiego i poleciła mi rozmawiać. I zaraz usłyszałem drugi głos:

— Tu mówi Ryfka. Dobry wieczór panu.

— Dobry wieczór! Jakże się cieszę! — zawołałem do mikrofonu. — Jednak zgadłem! Jednak uchowała się pani!

— Jaka pani! Byłam dla pana zawsze Ryfką. Proszę nadal tak zwracać się do mnie.

— To było dawno temu. Idzie już piąty dziesiątek lat.

— To prawda. Ale proszę tak mi mówić, po staremu.

— Zgoda. Ale pod warunkiem, że ja będę dla ciebie Leonardem.

— Dobrze. Choć nigdy się tak do pana nie zwracałam. A więc, Leonardzie, oczekuję ciebie.

— Gdzie?

— U siebie, w moim domu. Przyjedź.

— Naprawdę?

— Bardzo zapraszam.

— To taka daleka podróż.

— Podjedzie pod twój dom samochód, a gdy do niego wsiądziesz, wysadzą cię z niego dopiero przed moim domem.

— Jaki samochód?

— Przyślę go specjalnie po ciebie.

— Ależ to nonsens!

— Nie nazywaj, proszę, mojej propozycji nonsensem. Wiem, że przyjedziesz.

— Za nonsens przepraszam. Ale skąd wiesz, że przyjadę?

— Jestem przecież wróżką.

— Prawda. I wiesz, kiedy przyjadę?

— Gdybym ci powiedziała, odczułbyś to jako zniewolenie. Namyśl się i zadzwoń do mnie, którego dnia, o której godzinie ma stanąć auto przed domem, w którym mieszkasz.

Wahałem się tylko przez moment. Pociągało mnie to spotkanie. Oświadczyłem:

— Przyjadę.

— To jest słowo. Kiedy zadzwonisz?

— Może nawet już jutro.

— No to żegnam cię, Leonardzie. Czekam.

— Ale momencik! Jeszcze słowo! Wybierałaś się na architekturę. Studiowałaś ją?

— Naturalnie. Mam dyplom Politechniki Warszawskiej.

— To dlaczego wróżysz?

— Mój miły. Ty o to pytasz? W Polsce, w której historycy robią zabawki z plastyku, rolnicy pracują w biurach, matematycy sprzedają kapustę?

— No dobrze. To nie jest odpowiedź, ale tymczasem przyjmuję i taką. Porozmawiamy przecież.

— No właśnie. Więc bywaj.

— Do widzenia! A do usłyszenia już jutro!

Tempo, jakie przybrała sprawa od samego początku, weszło teraz w mój system nerwowy. Byłem już na emeryturze, oddawałem się pisaniu, studiom związanym z nim, luźnym lekturom i zabiegom związanym z dbałością o nadwerężone zdrowie, zwłaszcza o serce po dwóch zawałach i różnych innych atakach. Mogłem regulować sobie rytm zajęć, najczęściej nie miałem przeszkód w przenoszeniu ich w czasie: z tygodnia na tydzień, a nawet z miesiąca na miesiąc.

Tego wieczoru długo obliczałem, co jeszcze muszę zrobić przed wyjazdem, a co mogę odłożyć na później. Już następnego ranka podjąłem decyzję. Była środa. Zdecydowałem się na wizytę w wolne dni wróżki, w

przyszłym tygodniu. Następnego dnia był czwartek, miałem więc dobry tydzień czasu na załatwienie bieżących spraw, na wykonanie najpilniejszych zobowiązań. Ponieważ obliczyłem, że samochodem będę musiał jechać, licząc konieczną przerwę obiadową, około dziesięciu godzin, więc postanowiłem zamówić go na godzinę ósmą rano następnego czwartku, tak by ukończyć podróż przed wieczorem.

W drugiej rozmowie telefonicznej Ryfka z entuzjazmem zaakceptowała moją propozycję.

— Obmyśliłeś to świetnie! Pamiętam, że i wtedy, podczas wojny byłeś taki precyzyjny. Oczekuję cię, Leonardzie!

— Z tą moją precyzją nie jest znów tak idealnie — przyhamowałem ją. — Przecież samochód nie pojedzie sam, będzie w nim kierowca.

— Bardzo słuszna uwaga. Ale co z tego?

— Ten kierowca nie pojedzie przecież do Olsztyna w nocy, zapewne zjawi się tutaj poprzedniego dnia. Czy nie muszę przygotować mu noclegu?

Zaśmiała się wesoło.

— A jednak precyzja! Ale nie posuwaj się za daleko.

— To znaczy?

— To znaczy, że cała ta sprawa należy do mnie. To znaczy, że o ósmej rano kierowca zapuka do twoich drzwi. Bądź tylko gotowy do czterodniowej podróży, bo mam nadzieję, że spędzisz u mnie dwie pełne doby, a to znaczy, że w podróż powrotną udasz się czwartego dnia rano. Widzisz, mnie też nie brak precyzji. Dokładność architekta, mój drogi. A może i dokładność wróżki?

— Moje pełne uznanie.

— A więc jasne. O nic więcej się nie martw. W przeddzień, to znaczy w środę wieczorem, zadzwo-

nię jeszcze raz do ciebie, by upewnić się, że nic się nie zmieniło.

— Dziękuję ci. Może jednak tym razem ja zadzwonię?

— Nie. Nie odbieraj mi patentu. To ja obmyśliłam sprawy podróży. Ty wreszcie masz być moim gościem. Więc jeszcze raz do usłyszenia, a potem do zobaczenia!

— Do zobaczenia, Ryfko!

W następną środę jeszcze raz powtórzyliśmy to uzgodnienie w kolejnej wieczornej rozmowie telefonicznej. Załatwiłem do tego czasu wszystko, co miałem do załatwienia i byłem gotowy do wyjazdu.

W czwartek rano niecierpliwie wypatrywałem przez okno, jakiż to samochód stanie przed moją bramą.

Kwadrans przed ósmą stanęła... taksówka! I to lokalna, olsztyńska! Tyle, że nie była to byle jaka taksówka, bo... mercedes. Kierowca wysiadł z wozu, widać było, że się nie spieszy, przecierał szyby i tablice rejestracyjne. Pięć przed ósmą wszedł do klatki schodowej. Zaśpiewał gong. Gdy otworzyłem drzwi, kierowca powiedział:

— Dzień dobry. Czy to pana mam zawieźć do pani Ireny Makowskiej?

Nie zmyliło mnie nic. Nie pamiętałem wprawdzie nazwiska Ryfki, ale domyśliłem się, że zmieniła przez ten czas zarówno imię jak i nazwisko, może po prostu po wojnie zatrzymała to, które ze względu na bezpieczeństwo musiała przybrać podczas okupacji. Dla jasności wymieniłem jednak nazwę miasta, do którego mieliśmy jechać. Kierowca potwierdził ten punkt docelowy.

Nie należy do tego opowiadania relacja z odbytej dziesięciogodzinnej podróży. Może tylko jeden szczegół warto tu przytoczyć, ten mianowicie, że obaj z tak-

sówkarzem mieliśmy zostać zakwaterowani w tym samym hotelu.

Od tego zakwaterowania rozpoczął się mój pobyt w mieście. W hotelu zakomunikowano mi, że o godzinie dwudziestej słynna tutaj Pytia oczekuje mnie z kolacją. O tej godzinie mercedes wysadził mnie przed jednorodzinnym domem w ogrodzie — przed jednym z ustawionych w szeregu domów, stojących przy małej uliczce na przedmieściu.

Na zamożność Ryfki nastawiłem się już od chwili, gdy padła propozycja przysłania po mnie samochodu. Wrażenie uczyniła na mnie także rozmowa z taksówkarzem, wyjaśniająca mi sposób rozliczenia z nim. Ale wszelkie oczekiwania przeszło dopiero wnętrze mieszkania Pytii. Boazerie i obicia ścian prześcigały się w przepychu z antykami, jakimi umeblowany był dom. Już w pierwszym momencie w osłupienie wprawił mnie obszerny hall, do którego wpuściła mnie osóbka wyglądająca na pokojową. Tego ostatniego byłem pewny, pomimo że osóbka — ubrana w ciemny fartuszek z białym kołnierzykiem — odpowiedziawszy na moje „dobry wieczór", oznajmiła: — Irena oczekuje pana w jadalnym.

W tej samej chwili otwarła się środkowa część dużych, trzyskrzydłowych drzwi, tak że nie zdążyłem nawet rozejrzeć się w szczegółach urządzenia hallu. Stanęła w nich nieduża kobieta w długiej, granatowej sukni bez żadnych ozdób. Uwagę moją przyciągnęły przede wszystkim czarne, długie włosy, spływające na barki, ale nie mogłem nie spojrzeć równocześnie w twarz Ryfki — w tę samą twarz co wtedy, przed laty, choć pokrytą bardziej szorstką cerą i w jej oczy — też czarne, lecz zmienione, patrzące jakby w głąb człowieka. To nie były już oczy dziewiętnastoletniej, milutkiej Żydóweczki. To były oczy starej Żydówki, mądrej doświad-

czeniem długiego życia, obytej w dodatku z głębią ludzkich losów, cierpień, nadziei i ufności. Oczy wróżki.

— Witam cię w moim domu, Leonardzie — usłyszałem i ocknąłem się z zachwytu. — Nie zmieniłeś się prawie od tamtego czasu. Właśnie tak a nie inaczej wyobrażałam sobie ciebie.

Schyliłem się ustami do jej dłoni, lecz doprawdy nie wiedziałem co mówić; bąkałem jak uczniak:

— To ty, moja droga... Ale skąd ja mam brać komplementy, skoro wyjmujesz mi je z ust?

— Nie sil się na komplementy, to przecież między nami zbędne.

— Pytia zapewne odczytuje ludzkie myśli — powiedziałem już śmielej. A widząc, że pokojówka ulotniła się jednymi z kilkorga drzwi, zapytałem: — A właściwie, jak powinienem tu zwracać się do ciebie?

Roześmiała się perliście i pociągnęła mnie za rękę, prowadząc do obszernego pokoju.

— Mów mi, jak chcesz: Pytia, Ryfka, Irena. Nie mam w tym domu tajemnic przed nikim. Ze służbą jestem zaprzyjaźniona, jak wypada w socjalistycznym społeczeństwie. — Uśmiechnęła się tak, że nie wiedziałem, jak pojmować jej stosunek do socjalizmu. — Nie krępuję się ani przed pokojową, ani przed kucharką. Tworzymy coś jakby spółdzielnię i jakby rodzinę zarazem.

Poprzestanę tu na ogólnikach, jakie wypowiedziałem już wyżej na temat zamożności domu Ryfki i nie będę opisywał ani jadalni, ani gabinetu przyjęć. Nie zamierzam także silić się na relacje z królewskich posiłków, którymi traktowano mnie zarówno tego wieczoru jak w ciągu następnych dwóch dni. Dania były wspaniałe, gust kucharki cudowny, kultura podawania do stołu wprost dworska. Napitki w zadziwiająco umiejętny sposób dobierane do potraw. A wszystko w tonie naturalnym, bez pozy i bez cienia sztuczności.

Jedno z pierwszych pytań, jakie zadałem Ryfce, dotyczyło jej stanu cywilnego i rodzinnego.

— Żyję, jak widzisz, sama — odpowiedziała bez wahania. — Cała moja rodzina została spalona w piecu.

— A tamten chłopiec, z którym uciekłaś?

— Złapali go w Warszawie, zabili, gdy wyszedł któregoś dnia na ulicę.

Opowiedziała mi całe swoje życie. Zaczęła od ucieczki z Białej Podlaskiej do Warszawy. Jechała pociągiem nie tylko z medalikiem na piersiach, lecz i z wymalowanymi na twarzy krostami i bandażem zasłaniającym jej połowę. Potem ukrywała się przez parę lat, nie opuszczając wcale domu swoich opiekunów. Walczyła razem z nimi w Powstaniu Warszawskim. Pokojóweczka, którą widziałem, jest wnuczką tych ludzi, osóbką po wyższych studiach, zajmującą się w wolnych chwilach przekładami z języka angielskiego. Przed ostatecznym upadkiem powstania Ryfka razem ze swoimi zdołała uciec na wieś. Zaraz po wyzwoleniu rozpoczęła studia. A po studiach wyszła za mąż za syna swoich opiekunów, spełniając ich wolę. Teściowa zdążyła umrzeć jeszcze przed ślubem. Gdy tylko zmarł i teść — wzięła natychmiast rozwód z człowiekiem, którego nie kochała. Rzuciła pracę w biurze projektów i przeniosła się w całkiem obce środowisko — tu właśnie, do tego miasta — by przedzierzgnąć się w Pytię.

— Skąd u ciebie ten talent wróżki?

Był to już następny dzień po owej powitalnej kolacji — pierwszy dzień mego całodobowego pobytu — gdy zadałem to pytanie. Siedzieliśmy w gabinecie Pytii, urządzonym stylowo, na modłę wschodnią, dla wywołania nastroju i ufności w klientach — jak mnie sama objaśniła. Gospodyni wstała z krzesła, podeszła do jakiejś starej sekretery w stylu orientalnym, otworzyła drzwiczki. Poszperawszy w papierach, ujęła jeden z nich

w swą kształtną, podłużną dłoń o smukłych palcach i podała mi go. Na białym papierze widniał rysunek linii papilarnych czyjejś dłoni.

— Co to jest? — zapytałem zdziwiony.

Ryfka uśmiechnęła się zagadkowo.

— Mój drogi. Nie wiedziałeś wtedy i nie wiesz do tej pory, że moja mama była znakomitą chiromantką. Dodajmy nawiasem, że jej pochodzenie było na poły cygańskie. Ale zaraz na początku okupacji hitlerowskiej zaprzestała wróżenia, a stało się to po tym, gdy któremuś Niemcowi przepowiedziała śmierć na polu bitwy. Niemiec wściekł się, obrzucił ją przekleństwami i poszedł trzasnąwszy drzwiami. Wtedy mój ojciec powiedział: „Ajwaj, on może nas zniszczyć." „Tak" — przyznała mama. „Ty więcej nie wróż, Rebeka. Nikomu. Bo jak powróżysz Żydom i Gojom, to przyjdą hitlery, żeby im też wróżyć. A teraz, podczas wojny, moc ludzi poginie: i Żydów, i Gojów, i hitlerów. Żydki i Goje pogniewają się tylko, gdy im wywróżysz co złego, ale hitlery mogą ciebie zabić. Ciebie i mnie, i Ryfkę. A ty nie będziesz kłamać, jak zobaczysz śmierć na czyjejś ręce". „Nie — przyznała mama — ja nie będę kłamać, bo linie na rękach mają mówić ludziom prawdę". I tak skończyła się w naszym domu chiromancja. Rzadko kiedy mama wróżyła jeszcze niektórym osobom w drodze wyjątku. Wtedy ja w obawie, że ta sztuka zaginie w naszej rodzinie, zaczęłam uczyć się jej w przyspieszonym tempie, bo do tej pory znałam się na niej tylko pobieżnie. A gdy uciekłam do Warszawy, zabrałam z sobą starą książkę o tajnikach chiromancji, która była u nas w domu, a której mama nawet już nie używała, w każdym razie nie używała w czasach, które pamiętam.

— No tak — powiedziałem, podsuwając jej pod oczy podany arkusz. — Ale co znaczy ten rysunek?

I znów zagadkowy uśmiech Ryfki.

— To są twoje linie papilarne — wycedziła.

— Skąd?! — zawołałem. — To niemożliwe!

— A jednak...

I nastąpiło opowiadanie z roku 1941.

Ryfka chciała wtedy poznać moją przyszłość, lecz nie wolno jej było wspomnieć ni słowem o chiromancji, bo taki panował w domu zakaz. Ale mieszkał w Białej przedwojenny ekspert policyjny, który przed wojną zajmował się w Brześciu identyfikacją ludzi na podstawie odcisków dłoni. Ryfka poprosiła go o utrwalenie rysunku mojej dłoni. Ekspert polecił jej, by kazała mi ścisnąć w dłoni zwykłą piłkę dziecięcą. To z tej piłki, za pośrednictwem kilku fachowych manipulacji technicznych, wziął się rysunek, widoczny na trzymanym przeze mnie arkuszu. Położyłem go teraz na stole, rozwarłem dłoń i porównywałem linie. Wszystko się zgadzało.

Równocześnie przypomniałem sobie jakiś zimowy ranek w biurze tartaku. Skończyłem akurat się golić. Ryfka zamiatała podłogę zwykłą miotłą na kiju. Nagle podeszła do mnie i wyciągnęła dłoń, na której spoczywała piłka gumowa. Dopiero w tej chwili, po latach, uświadomiłem sobie, że w ręce miała też szmatkę do ścierania kurzu. Mówiła: „Niech pan popatrzy, co znalazłam. Chce pan?" Nie chciałem, bo co bym robił z piłką. Ale lubiłem Ryfkę bardzo, więc wziąłem krągłą, twardą, lecz elastyczną kulę do ręki. „Niech pan mocno ściśnie" — powiedziała jeszcze, szczerząc swoje śliczne, białe ząbki. Ścisnąłem, co mi to szkodziło. „Jeżeli pan nie chce piłki, to proszę mi zwrócić, dam dzieciom na naszym podwórzu, niech się bawią".

Teraz Ryfka objaśniała:

— Położyłeś piłkę z powrotem na szmatce, a była to idealnie czyściutka szmatka. Poszłam zaraz do pustego

gabinetu szefa i przełożyłam piłkę do przygotowanego specjalnie pudełka. No, a przedwojenny urzędnik policyjny zrobił ten majstersztyk. Zresztą, to co trzymasz w ręce, jest kserograficzną odbitką oryginału, który spoczywa gdzie indziej.

— No dobrze — zastanowiłem się głośno. — Ale na co potrzebne ci były moje linie papilarne, skoro mi niczego nie wywróżyłaś? I jakim cudem ten rysunek przetrwał wojenną zawieruchę i tyle lat po wojnie?

Twarz Ryfki wydłużyła się. Uśmiech na niej zgasł całkowicie. Utkwiła wzrok w płycie stołu. Zaczęła bębnić po niej palcami prawej dłoni, na których lśniły dwa kawałki złota: gruba obrączka i misterny pierścioneczek z kilkoma szafirkami.

— Zadałeś najtrudniejsze pytanie. A właściwie dwa pytania, więc odpowiem wpierw na drugie. Rysunek włożyłam między kartki podręcznika chiromancji. A tego, jak się domyślasz, pilnowałam przez cały czas, jak oka w głowie. Jest to zresztą jedyna pamiątka z lat okupacji, w ciągu których wyniszczono Żydów prawie dokładnie. A zarazem jedyna pamiątka po moich rodzicach. Zobacz, tam na półce stoi skrzyneczka, bardzo piękna, jak widzisz. To jest mój ołtarzyk. To jest jakby przedmiot kultu trzeciej z moich religii.

Spojrzałem na skrzyneczkę, która wydawała się być zrobiona z hebanowego drzewa. Na jej froncie widniały misternie rzeźbione drzwiczki. Chciałem zadać gospodyni kilka pytań, ale uprzedziła wszystkie.

— Widzisz, ja nie tylko powiesiłam sobie medalik na szyi. Medalik, który zresztą straciłam w wirze powstania. Ja także ochrzciłam się w Warszawie, właściwie tylko po to, żeby mieć świadectwo chrztu dla zwodniczego zresztą bezpieczeństwa. Prawdę mówiąc, nie jestem ani chrześcijanką, ani wyznawczynią Mojżesza, choć — nie wiem, czy to zauważyłeś — święcę szabas

i dlatego nie przyjmuję klientów w piątki i soboty. Święcę go dla pamięci moich rodziców, tak jak obchodzę imieniny na pamiątkę mojej szkolnej przyjaciółki z Białej — Irenki Makowskiej, której imię i nazwisko przybrałam, wyrabiając sobie papiery chrztu. Przy tym imieniu i nazwisku pozostałam potem jako obywatelka PRL. Ach, a Irenka... Irenka zmarła na gruźlicę w przedzień wybuchu wojny, już po maturze, w czerwcu 1939. Ale miałam ci powiedzieć o mojej trzeciej religii. Otóż w tym ołtarzyku hebanowym znajduje się książka o chiromancji, ta po mojej mamie. Dotykały tej książki jej ręce. To moja relikwia, moja największa świętość. Jak widzisz, religia ta — oczywiście, używam tej nazwy tylko umownie — zawiera dwa elementy: kult mamy i wiarę w chiromancję. Ja, co prawda, wróżę także z kart, jak ktoś woli, stawiam też horoskopy, ale wierzę tylko w chiromancję. Linie papilarne rosną przecież w samym człowieku, wiedza o nich stanowi prawdziwą mądrość. Ta książka ową mądrość zawiera. Przeczytałam, oczywiście później, wiele innych dzieł z tej dziedziny, lecz żadne inne jej nie prześcigną. Jest dla mnie tym więcej warta, że tkwi w niej dokument mojego ślubu.

— Dokument ślubu? — zdziwiłem się. — Przecież nie kochałaś tego człowieka, syna twoich opiekunów.

— Toteż nie o niego chodzi. Nie kochałam ani jego, ani tego chłopca, z którym uciekłam z Białej do Warszawy, bo był mi także narzucony. Przez rodziców. Ale uciekłam z nim, bo wola rodziców była dla mnie święta. Zresztą, nie był mi niemiły, mogłam go znieść.

— A ten dokument? — spytałem jeszcze raz.

— Dotyczy jeszcze innej osoby — odpowiedziała i popatrzyła mi prosto w oczy tak przenikliwie, że aż przeszły po mnie ciarki.

— Nie możesz powiedzieć, kogo dotyczy... — wy-

szeptałem, przejęty i pełen lęku, by nie poruszyć w niej jakiejś bolesnej struny, by jej nie zranić. Ponieważ milczała przez najbliższe sekundy, wpatrując się tępym wzrokiem w blat stołu, więc dodałem jeszcze: — Z tą samą osobą wiąże cię zapewne obrączka na twoim palcu...

Wskazałem palec serdeczny jej prawej ręki.

Odpowiedziała bez wahania: — Tak.

Rozmowa jakby przestawała się nam kleić. Domyślałem się, że to za tą obrączką i za tym dokumentem w hebanowej skrzynce kryje się coś, co przejmuje Ryfkę do szpiku, czego dotyka ostrożnie, rzeczywiście jak rany. Ale zapytałem jeszcze:

— Ten ktoś nie żyje?

— Żyje — odparła i westchnęła.

— Kochasz go? — brnąłem dalej, choć czułem, że postępuję zbyt nachalnie. Ale to przecież ona sama zapraszała mnie usilnie, a zapraszała nie po to, byśmy rozmawiali o głupstwach, lecz o sprawach swego życia: jej i mego.

— Powiem ci wszystko jutro, na zakończenie twego pobytu tutaj.

Tymczasem więc ja opowiadałem jej o swoich losach. W pewnej chwili jednak, gdy wspomniałem moment największego zagrożenia życia, Ryfka wtrąciła: — Wiem.

— Skąd?! — zawołałem.

— Przecież jestem Pytią — oświadczyła z całym spokojem i jakby z absolutną powagą.

Zreflektowałem się szybko: miała przecież moje linie papilarne.

— To było widoczne na mojej dłoni?

— Oczywiście. Powiedziałam ci: chiromancja jest jedną jedyną sprawą, w jaką wierzę. Sprawdza się dokładnie, trzeba tylko umieć czytać linie. A ja to umiem.

Dlatego służę ludziom swą umiejętnością. A że na tym dobrze zarabiam... Mój Boże, za marne grosze nie ceniliby ani mnie, ani moich słów. Ceny moich usług pomagają mi spełniać moją misję. Misję niesienia pomocy ludziom wątpiącym, nieszczęśliwym, błądzącym. Muszę ci jednak powiedzieć, że gdy przyjdzie do mnie ktoś rzeczywiście potrzebujący mojej rady, a widzę, że nie śmierdzi groszem, to nie biorę nic. Ludzie to wiedzą, ale tej wiedzy nie nadużywają. Po prostu są przekonani, że widzę ich na wylot i nikt nie udaje przede mną kogo innego.

Słuchałem jej słów z niezmiernym zainteresowaniem, ale dopiero teraz przypomniałem sobie, że zadałem jej poprzednio pytanie złożone z dwóch członów, a ona właściwie odpowiedziała mi tylko na jeden z nich. Toteż gdy skończyła, przypomniałem:

— Nie wiem, czy chciałaś się wymigać, ale odpowiedziałaś tylko na pół pytania. Miałaś mi jeszcze wyjaśnić, do czego potrzebny był ci tam, w tartaku, obraz moich linii papilarnych.

Spojrzała na mnie, jak dziecko schwytane na psocie. Zaraz jednak odparła:

— Przecież powiedziałam ci, że o tym jutro, na koniec twego pobytu u mnie.

Uderzyłem dłonią w stół. Ta kobieta próbowała coś skryć przede mną.

— Ryfko, bujasz mnie! — zawołałem. — Jutro na zakończenie obiecałaś opowiedzieć o swoim ślubie.

— O jakim ślubie? — zdziwiła się jakby szczerze, szeroko otwierając oczy.

— Nosisz przecież obrączkę, a w hebanowej skrzynce masz dokument ślubu.

Cała jej twarz mieniła się teraz zmarszczkami. Oczy niespokojnie wpatrywały się w palce obu rąk, które splótłszy wyłamywała, aż trzaskały stawy.

— Masz rację. Wszystko poplątałam. Pewnie nie wypoczęłam jeszcze po całotygodniowej harówie. Ale, mój drogi, to drugie też powiem ci jutro. Mamy przecież jeszcze tyle czasu! — zaśmiała się głośno i niespodziewanie wstała z krzesła. — Proponuję, byśmy teraz wypili kawę i po kieliszku likieru. Mam doskonały, anyżowy, domowej roboty.

Niecierpliwie oczekiwałem wyjaśnienia tych dwóch spraw, za którymi kryły się niewątpliwie jakieś najważniejsze problemy życia Ryfki. Kogo poślubiła? Ten ktoś żyje. Czy go kocha? No tak, to mogą być zasklepione rany, których dotykanie może sprawiać jej ból. Postanowiłem nie ruszać ich więcej, nie pytać o nic, jeżeli sama nie wróci do tego tematu. Po co jednak odłożyła również odpowiedź na pytanie o rysunek linii mego życia?

Mieliśmy o czym rozmawiać przez te dwa dni, mieliśmy o czym sobie opowiadać. Były momenty, gdy wydawało mi się, że Ryfka jakoś próbuje i będzie próbowała do końca wykpić się od odpowiedzi na moje pytania. W pewnej chwili, gdyśmy rozmawiali o moim życiu, powiedziała:

— Chciałam mieć rysunek twojej dłoni, żeby wiedzieć, jak długo będziesz żył i jak potoczą się twoje losy. Dzięki niemu wiedziałam, że żyjesz. To prawda, mogłam cię szukać, ale... Ale, zostawmy to.

Kiedy indziej, w toku rozmowy, usłyszałem z jej ust takie stwierdzenie:

— Mój drogi, miłość nie jest jakimś stanem statycznym, niezmiennym, jak na przykład dzieło architektury, choć oboje doskonale wiemy, że i ono ulega korozji. Miłość zmienia się, to się rozpala, to gaśnie. To wznosi się, jak morze w przypływie, to opada. To krzyczy, to milczy. Wypala się czasem na popiół. Rzadko z popiołów ożywa.

Czyżby to już były odpowiedzi na moje pytania?

No nie, jeżeli chodzi o tę sprawę z piłką, to przecież Ryfka nie każdemu ją podawała, nie każdego linie papilarne przechowywała. Było nas w biurze kilku Polaków, nie mówiąc już o robotnikach placowych, mogła przecież zachować linie kogoś innego. A miłość do owego tajemniczego męża... Nie, nie, te jej ogólne rozważania nie stanowią żadnego wyjaśnienia. Muszę jednak czekać do końca na obie odpowiedzi.

W piątek pod wieczór zapytałem ją, czy nie jestem w błędzie co do tego, że Żydzi rozpoczynają obchód szabasu już w przeddzień, o zachodzie słońca, bo w gruncie rzeczy nie znam się na tym, wychowywałem się w mieście bez Żydów, w mieście na dobitkę mocno antysemickim. Jeżeliby więc chciała wkrótce rozpocząć swoje święto, to sobie już pójdę.

Roześmiała się tym razem w głos, śmiech jej rozbrzmiewał echem pod sufitem dużej jadalni, w której właśnie zasiadaliśmy do kolacji.

— Och, jakiś ty śmieszny! — zawołała. — Powiedziałam ci przecież, że wierzę tylko w chiromancję. Szabas święcę tymi dwoma dniami wolnymi od pracy. I tyle. Ludziom w dodatku dogadza to, że przyjmuję w niedziele. Szabas — to u mnie czas wspominania rodziców i tego mojego... no, wiesz. To także zbieranie sił do pięciodniowej harówy. Sił duchowych przede wszystkim. Wierz mi, chiromancja traktowana poważnie, a ja ją tak traktuję, wymaga dużego napięcia wewnętrznego. To trudniejsze od architektury, choć w jakimś sensie jest także architekturą. Architekturą ludzkich losów.

Przez całą sobotę pozostawałem pełen wątpliwości, czy w ciągu szybko mijającego dnia dowiem się tego, co mnie tak intrygowało. Tak, przez całą sobotę, bo dopiero po kolacji Ryfka podeszła do hebanowej skrzynki. Sięgnęła do jednej z szufladek sekretery po kluczyk

i otworzyła lewe skrzydło drzwiczek, na których rzeźbiarz uformował dziwne sploty linii, wiążących ludzkie główki. Wyjęła z wnętrza pożółkły arkusz papieru, złożony we czworo i podała mi go bez słowa.

Gdy rozwinąłem papier, ukazały się na nim linie papilarne, niezbyt wyraźne, jakby zamazane. Dwie z tych linii zafrapowały mnie. Wyjąłem szybko z kieszeni papier otrzymany poprzedniego dnia, przedstawiający moje linie. Porównywałem oba rysunki szybko, nerwowo. Były identyczne. Spojrzałem na Ryfkę. Odwróciła się i podeszła do okna. Patrząc na ulicę polecała mi suchym głosem:

— Tam wewnątrz, w skrzynce, jest książka i jeszcze coś. Weź to co nie jest książką i włóż na palec. Zatrzymaj to na pamiątkę. A oryginał rysunku włóż z powrotem do skrzynki, połóż na książce.

Posłusznie sięgnąłem ręką do wnętrza, jednocześnie rozejrzałem się w nim. Obok książki znalazłem złotą obrączkę. Przejął mnie dreszcz, zdawało mi się, że jeżeli dotknę tego przedmiotu — popełnię świętokradztwo. Ale wziąłem lśniące kółko i wsunąłem je na mój palec serdeczny, do którego pasowało dokładnie.

Nie miałem odwagi spojrzeć Ryfce w oczy. Przelewały się we mnie kontrasty uczuć, jak wodospady. Uczucia tak z sobą sprzeczne i antagonistyczne, że rwały mi serce na strzępy. Radość i ból. Duma i wstyd. Skrucha i chęć rzucenia się tej kobiecie na szyję. Albo do nóg. Czułość i gniew. Nie było tylko we mnie miłości, tak jak i nie było nienawiści. Zwątpienie i groza oczywistości. Wrzątek myśli. Lód wstrzemięźliwości.

— Jeżeli masz już obrączkę na palcu — powiedziała Ryfka — to możesz obejrzeć sobie jeszcze książkę, która leży w skrzynce. Tę po mamie.

Wziąłem do ręki duży, gruby tom, zsunąwszy z niego kartkę z rysunkiem linii mej dłoni. Nie znam na tyle

języka rosyjskiego, by dokładnie przełożyć na polski jego długi tytuł. Zrozumiałem jednak, że mowa jest o chiromancji. Odczytałem też rok i miejsce wydania: Petersburg 1879. No tak — pomyślałem — ci ludzie żyli w zaborze rosyjskim. Przewertowałem jeszcze kartki książki, przypatrzyłem się niektórym ilustracjom. Wreszcie odłożyłem ją z powrotem na miejsce. Ryfka mówiła:

— No widzisz, w ten sposób oboje odprawiliśmy wspólnie mój zwykły szabas. Był jednak inny, można powiedzieć: niezwykły.

Już znowu stałem zwrócony do niej. Ośmieliłem się podnieść oczy na nią, bo nie wiedziałem, co robi i nie wiedziałem, co dalej. Stała niemal tak samo, jak w ów wieczór, gdy mnie witała. Taka sama dostojna postać, taka sama piękna twarz. Gdy wysunęła ręce przed siebie, zrozumiałem, że chce pożegnać się ze mną i ogarnęło mnie przerażenie. Zacząłem więc mówić, by ją uprzedzić:

— Powiedziałaś wczoraj, Ryfko, że miłość wypala się na popiół. Ale ten popiół może pozostać, można go przechowywać, jak skarb w szkatułce. Albo jak prochy zmarłej osoby w urnie. To zresztą na jedno wychodzi. Pamięć twoja pozostała we mnie, była i jest trwała. Nie mogę mówić o miłości, nie miałem wtedy odwagi kochać cię, bo byłaś piękna, młodziutka i w dodatku z innego świata, przede wszystkim jednak miałaś swego chłopca, o którym wiedzieliśmy wszyscy w biurze. Ale skarb twej pamięci w szkatułce mojego serca ostał się. Nie wiedziałem tylko, nie przeczuwałem nawet, że ta pamięć zmaterializuje się. O tyle ty miałaś przewagę nade mną. Jako Pytia. Ale, à propos: co jeszcze wyczytałaś z linii papilarnych mojej ręki?

Patrzyłem pytająco w jej oczy. Czułem, że usprawiedliwiałem się, jak smarkacz, a teraz próbuję nagle

postawionym pytaniem odwrócić jej uwagę. Widziałem jednocześnie, jak opadają ręce Ryfki. Na jej twarzy zajaśniał szeroki uśmiech.

— Mój drogi, przecież wiesz, że dzisiaj nie pracuję, nie wróżę. To szabas.

— A jutro rano przed odjazdem?

— Jutro to niemożliwe. Już od wczesnego rana w przedpokoju zbierają się klienci, każdy chce zostać przyjęty tego dnia, którego przyjdzie, bo nie zawsze zdążę przyjąć wszystkich. Poza tym muszę ustawić się wewnętrznie do tej harówy. Wybacz, nie mogę tak bez przygotowania wewnętrznego... Napiszę ci może kiedyś... A może jeszcze raz mnie odwiedzisz?

— Czy linie mówią o naszym następnym spotkaniu? — Uśmiechałem się z niejaką złośliwością.

— Znów to samo. No, dosyć, Leonardzie.

Ogarnął mnie nagle ogromny smutek.

— To znaczy, że mam już iść? Że nie powiemy sobie już nic więcej?

Zbliżała się do mnie powoli.

— Czyż nie powiedzieliśmy sobie bardzo wiele? — spytała.

— To prawda — szepnąłem.

Wyciągała przed siebie swe piękne ręce.

— Wszystko ma swój kres, mój drogi. Mogę powiedzieć ci jeszcze na swoje usprawiedliwienie, że w całym tartaku tylko ty jeden traktowałeś mnie normalnie, jak zwykłego człowieka, tak jak wszystkich innych ludzi. Pozostali widzieli we mnie Żydówkę. Nie tylko zresztą w tartaku. Moje żydowskie pochodzenie było dla nich tym pryzmatem, przez który na mnie patrzyli. Dlaczego? Dla ciebie byłam dziewczyną po maturze, wybierającą się na architekturę i chodzącą z jakimś tam chłopcem. Nawet nie sprzątaczką biurową, jak dla innych biuralistów w tartaku, tylko przyjaciółką, która

ci pomagała w trudnym życiu. No tak, dzisiaj powiadasz, że byłam dla ciebie kimś z innego świata. Zapewne ta świadomość tkwiła w tobie. Ale nie dałeś mi tego poznać. A oni patrzyli na mnie jak na kogoś obcego. Nawet w gimnazjum, gdzie tak łatwo zawiązują się więzy koleżeństwa i przyjaźni. Wyobraź sobie: pozostawać bez przerwy kimś innym, obcym. Obojętne, czy to był cień antysemityzmu, czy może nawet czasem filosemityzmu, to nie ma żadnego znaczenia. Czyż nie jesteśmy wszyscy przede wszystkim ludźmi? To było takie ważne wtedy, w potworny czas nienawiści i mordu. Taka jak ty była jeszcze tylko Irka Makowska. Ta, która zmarła przed Wrześniem, po maturze. Której imię i nazwisko przybrałam. Dlatego ja Irkę kochałam. Słyszysz, Leonardzie? Dlatego ją kochałam. Słyszysz? Kochałam. Dlatego.

Powtarzała te słowa w jakimś zaślepieniu, z jakąś zapalczywością. Myślałem, że może dlatego, że zapatrzyłem się w okno i moje oczy mogły sprawiać wrażenie, że jestem nieobecny, czy choćby niezupełnie przytomny. Ale to przecież nie o to chodziło.

A obecny byłem. Bardzo obecny. Aż do bólu. I słyszałem nie tylko słowa Ryfki. Słyszałem także ich barwę, ich wszystkie odcienie i podteksty.

I tamta chwila jest teraz — gdy piszę te słowa — też tak samo obecna we mnie, że właściwie nie powinienem napisać już ani słowa więcej.